



A. W. "Geneza"

Ebola

Dom tonął w słabym świetle zapalonych w kątach pomieszczeń lamp. Żaden z ówczasnie przebywających wtedy w rezydencji ludzi, nie ośmielił się rozświetlić wieczornego mroku głównym światłem. Michał nie miał pojęcia, kim są wszyscy tam zebrani.

Zaczyna się rzeczywiście mrocznie: lampy palone po kątach, ludzie przebywający nie dość, że wtedy, to jeszcze ówczasnie, co w pełni tłumaczy dezorientację bohatera. Jest również nieco absurdalnie, dom tonący w słabym świetle, to coś jak okręt podwodny tonący w kałuży.

Chłopiec krążył od pokoju do pokoju, nie mogąc odszukać matki, która przecież go potrzebowała. Jego kochającego, ośmioletniego serduszka. Nigdzie jednak jej nie było. Podobnie z resztą jak i ojca, wymęczonego tajemniczą chorobą Lei.

Do dezorientacji bohatera wolnym krokiem zbliża się dezorientacja czytelnika. Niby wszystko jasne: zagubiony dzieciak nie może znaleźć matki, która potrzebuje jego serduszka (z niewiadomych przyczyn mam tu skojarzenia konsumpcyjne, pewnie tekst wyzwała moje podświadome lęki), w przyciemnionym domu, pełnym jakichś ludzi (co - przyznaję - może być dla ośmiolatka frustrujące), ani ojca (dodatkowo stresujące), no ok., tylko kim jest Lea? I dlaczego męczy ojca? Czyżby trójkącik?

Ostatnie pół roku było dla całej rodziny Majorów sprawdzianem wytrzymałości psychicznej. Ojciec wycofał się z aktywnej pracy w swej kancelarii, chcąc jak najczęściej przebywać w domu, z żoną. Jedynie Michał nie rozumiał, co działo się z jego matką. Raz kochająca i słodka, innymi razy nie do poznania, rozkrzyczana spod woalu wulgarności i sprośności.

Dojrzały ten ośmiolatek, niby dzieciak, a wulgarność i sprośność potrafi zdefiniować bez trudu. Tyle dobrego, że na odkrycie tożsamości męczącej Lei czekaliśmy zaledwie jeden akapit.

Przebywający w domu ludzie, bladzi ze strachu, szeptali między sobą, że wszystko zaczęło się zaraz po powrocie Majorowej z tej „egzotycznej wycieczki”. Michał usiłował sobie przypomnieć, czy wydarzyło się wtedy coś szczególnego, ale zdenerwowanie nie pozwalało mu się skupić.

Strach tych ludzi chłopiec rozpoznał bez trudu, wszyscy mieli bowiem wielkie oczy, a błądź... Obcy?!

Pamiętał jedynie napięcie, jakie towarzyszyło mu w oczekiwaniu na powrót rodzicielki domu. Specjalnie obiecał sobie, że nie zaśnie, dopóki nie przytuli jej zaraz po wejściu. Wybijała północ, gdy wreszcie na podjazd ich ogromnego, na kształt pałacu domu, podjechał czerwony, sportowy samochód ojca. Tak, jak się spodziewał Michał, to on wyszedł pierwszy, otwierając kobiecie drzwi i pomagając jej wysiąść. Serce chłopca podskoczyło na ten widok. Jego matka była zachwycająco piękną kobietą — całą urodę odziedziczył po niej. Pomachał do niej energicznie, odsuwając ciężkie firany, a ona z uśmiechem mu odmachała.

W tym akapicie do lekko sklerotycznej narracji (za nic nie może przypomnieć sobie, biedaczka, czy wspominała już, że dom Majorów to nie jakiś tam zwykły segment na przedmieściu, czy nie wspominała) dołączył niejaki dr Freud - ośmiolatek widzi matkę, a myśli „kobieta”. Prawdę mówiąc, że dzieci teraz szybko dojrzewają, Edypowi zajęło to więcej czasu, ale on nie miał netu. O sportowym, czerwonym samochodzie, który doszeeee... wyszedł pierwszy, nie wspomnę. O tym, że mały bohater ma świadomość swojej wielkiej urody, nawet się nie zająknę.

Zbiegł po marmurowych schodach i wyrwał z wazonu stojącego na środku holu — swoim zdaniem — najpiękniej pachnącą lilię, co nie uszło uwadze gosposi, która z dezaprobatą pokiwała tylko głową. Wszyscy jednak kochali Michałka i bez większych problemów wybaczaali mu drobne niesubordynacje. Uśmiechnął się do niej, a jego oczy zawojował blask.

Gdyby czytelnik nie zauważył, to narracja właśnie mimochodem nadmienila, że chałupa Majorów była wypasiona. Dowiedzieliśmy się również, że bohater jest wędrowym Speedy Gonzalesem.

Poprawił niesforne kosmyki i przekrzywiony sweter i z utęsknieniem czekał na jej nadejście.

Chrzest zamka obwieścił tak oczekiwany powrót matki. Porzucając wszelkie zasady etykiety, podbiegł do niej i rzucił się jej na szyję. Ta wycelowowała go i przytuliła, a Pascal — ojciec Michała — przyglądał się temu z uśmiechem. W rękach chłopca wylądowała mała, złota torebka ozdobna.

Nie dziwię się, że zalęknieni ludzie szeptali w tym domostwie, chrzest zamka rzucający się na szyję, która w rewanzu daje buziaka, materializująca się znienacka złota torebka (dobrze choć, że ozdobna, zwykła złota torebka, to by było faux pas) - mogą solidnie wystraszyć.

— Przywiozłam ci coś, Michałku — zwróciła się do chłopca kobieta, zdejmując płaszcz, w czym pomagał jej mąż. — Kiedy zobaczyłam ją na bazarze, od razu pomyślałam o tobie. Przecież uwielbiasz anioły, a ten jest taki nietypowy.

Oczom chłopca ukazała się śliczna figurka anielicy — najprawdopodobniej wykonana z czarnego onyksu — zasiadającej na kamieniu i otulonej własnymi skrzydłami z ostrymi jak szpony końcami. Anielica tęsknie spoglądała w dal. Bez wątpienia był to najpiękniejszy okaz w jego kolekcji. Teraz owa skrzydlata spoczywała na dnie kieszeni spodni chłopca. Miał nadzieję, że gdy pokaże ją matce, ta wróci do zdrowia.

Normalne dziecko wielu talentów, teraz jeszcze znawca kamieni szlachetnych, no no.

— Dziękuję — do serca chłopca napłynęła wdzięczność i bezgraniczna miłość do rodzicielki. Tego wieczoru po raz ostatni widział ją szczęśliwą.

Spojrzał na prowizoryczne klęczniki, z których dało się słyszeć ciche murmurando modlących się o łaskę dla udręczonych kobiet. Jednak do tonu ich głosu wkradła się jedna, słaba nuta. Czyżby strach?

Prowizoryczny klęcznik, Autorko, nazywa się podłoga.

Michał ominął je, a one odprowadziły go smutnym spojrzeniem. Spojrzenie to mówiło: „nie bój się chłopcze, tak nam przykro, wszystko się ułoży...”. Nie rozumiał.

Nie łam się, Michał, ja również.

Skierował się do jedyne go źródła światła, znajdującego się na końcu korytarza. Miał nadzieję, że odnajdzie tam matkę. Zdrową, szczęśliwą, z niecierpliwością czekającą na niego. Być może będzie tam też ojciec, radośnie klepiący go po ramieniu i mówiący, że wszyscy dali się nabrać.

Narracja wspominała, że lampy świeciły się w kątach pomieszczeń, więc albo ten dom jest jednokanciasty, albo jednak skleroza.

Nie to jednak spotkał w rozświetlonej dosyć ostrym — w porównaniu z pozostałymi pomieszczeniami — światłem bibliotece. Przez otwarte drzwi przybytku pełnego książek ujrzał dwie, żywo gestykulujące rękoma, postaci.

Już liczyłam na to, że zamiast tego chłopiec spotkał TO, a tu guccio. Pewną rekompensatą może być informacja, że biblioteka to takie coś z książkami.

Jedna z nich ubrana był w biały kitel. Był nią lekarz. Jego twarz zdradzała zmęczenie i rezygnację. Zasłonił oczy rękoma, marząc, by cały ten koszmar wreszcie się skończył. Wyczerpany opadł na fotel stojący pod ścianą.

A marzenie to miał wypisane na transparencie, tak że bohater bez trudu mógł je przeczytać. To miło, że lekarz postanowił ułatwić życie chłopcu, tym bardziej że gramatyka, nie mogąc znieść mroków tego dzieła, wyemigrowała do sąsiedniego opowiadania.

Drugi z mężczyzn, dla odmiany odziany w czerń, którą przełamywała jedynie fioletowa wstęga stuły, przysiadł na fotelu naprzeciwko. Mimo młodego wieku we włosach dały się znać pierwsze oznaki siwizny. Jedyne ognie w oczach wskazywał na siłę osobowości mężczyzny. Zamilkł, z wyczekiwaniem spoglądając na mężczyznę w bieli, który opuścił głowę.

Mężczyzna w czerni, mężczyzna w bieli, wyczekiwanie, ognie w oczach... to jednak nie jest miejsce dla kilkulatka. I jeszcze ta siwizna bezwstydnie dająca się znać! Faj! Zabierzcie stąd dzieciaka! Choć elementy szafiarskie - czerń przełamana fioletem - są bez wątpienia godne uwagi.

W momencie, kiedy zapadła cisza, spośród sosnowych półek i pełnych złotych zdobień okładek wyszedł Pascal. Milczący, zasępiony. Chłopcu coś drgnęło na widok umęczonego ojca. Chciał podbiec i go przytulić, ale coś go powstrzymało. Ojciec przemówił.

A wiecie, to nieludzkie, taka wielka chałupa, niby kulturalni ludzie, a ojca używają jako zakładki do książek!

— Panowie, naprawdę nie da się nic zrobić? Panie doktorze? — spojrzał na lekarza stary Major, jednak i w jego oczach nie było już nadziei. Ostatnie pół roku wyszło z niego wszelką radość.

A to, jak się niebawem okaże, jest pic na wodę i photoshop.

— Od początku zakładaliśmy, że to choroba psychiczna — powiedział lekarz z rezygnacją, jakby od jakiegoś czasu nie powtarzał niczego innego. — Wyjątkowo groźna i autoimmunologiczna. Doprowadza do silnego wyniszczenia organizmu. W historii kilku lekarzy próbowało ją opisać, ale na próżno. Pojawiają się kolejne komplikacje, których w żaden sposób nie można ze sobą logicznie powiązać. Takich przypadków nie da się tak prosto sklasyfikować.

No tak, kiedy lekarz jest niedouczonej, to mówi mętnie, tak, żeby rozmówca nic nie zrozumiał, ale pozostawał pod wrażeniem. Chociaż, chociaż... jeśli przyłożyć tę diagnozę do tego opowiadania, to jest to niezwykle trafna diagnoza. House, dajesz czadu!

— Opętań, doktorze Kotarbiński, opętań — ksiądz stracił wszelką cierpliwość. Spór nauki z religią na polu egzorcyzmów trwał już zbyt długo. Jako człowiek wykształcony uważał, że zamiast tuszować tego typu zjawiska, nauka powinna posypać głowy popiołem i skupić się na szukaniu pomocy biedakom. — Leczącie Leę od początku i jakie macie efekty?! Żadne! Jej trzeba pomóc!

Jak widać, bełkot nie jest wyłączną domeną lekarzy.

— Ksiądz także stara się jej pomóc — zwrócił się do Edmunda Pascal. — Coś się zmieniło?

Jak to miło, że wszyscy tam noszą plakietki z imionami, to bardzo ułatwia podsłuchiwanie.

— To jakiś potężny demon... — ksiądz Edmund przerwał, gdyż doktor Kotarbiński prychnął i wstał, wykazując tym samym najwyższe lekceważenie jego słów. Mimo to egzorcysta kontynuował niezrażony. Ksiądz, a w szczególności ksiądz, który wykonywał jego profesję, musiał wykazywać się znaczną dozą cierpliwości. — Niewiele wiemy... Musimy się modlić...

Jak na osobnika, który dopiero co stracił wszelką cierpliwość, ksiądz bez wątpienia wykazuje się dużą dozą cierpliwości.

— Demon! Na Boga! — wszedł mu w słowo Kotarbiński. — Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, proszę księdza! Religijne zabobony...

A to niespodzianka! Dwudziesty pierwszy wiek. Serio?

— Więc proszę, niech doktor udowodni, że to choroba! Ja w swojej posłudze widziałem niejednego taki przypadek, a doktor? Z iloma opętanymi przyszło panu pracować? Tak myślałem... Wolałbym, żeby to była choroba. Choroby można leczyć lub chociaż powstrzymać...

Zaraz, zaraz, znaczy, co to znaczy: „z iloma opętanymi przyszło panu pracować”?Przepracowana i niedofinansowana służba zdrowia ma się zajmować jeszcze opętanymi?! Bezczelny klecha.

— Panowie, przypominam że mówicie o mojej żonie, a nie o byle PRZYPADKU MEDYCZNYM!

Michał nie wytrzymał. Czuł, że jeśli za chwilę nie wtuli się w ojca, wybuchnie płaczem. Chciał do matki. Niech ktoś go w końcu do niej zaprowadzi!

— Michał?! — ojciec spojrzał na niego spod okularów. — A co ty tu robisz?! Powinieneś spać! Gdzie ciocia Ursula? Powinna się tobą opiekować, na rany Chrystusa... Nie dam rady dopilnować wszystkiego sam...

Jak się trzyma okulary nad oczami, to faktycznie trudno mieć oko na wszystko.

— Ale tato... — zaczął płaczliwie Michał. — Gdzie mamusia?

— Mamusia śpi. Jest chora — Pascal stanął w drzwiach, a mężczyźni przebywający w pokoju z milczeniem obserwowali chłopca. — Zmykaj stąd. W tej chwili! Znaleźć mi ciocię Ursulę i kłaść się spać!

Niezła jednak ta rezydencja, nawet pokój z milczeniem mają.

Pascal trzasnął drzwiami przed nosem chłopca, aż ten podskoczył. Ze strachu i szoku zapomniał, że miał się rozpłakać. Stał tak jeszcze przez chwilę, aż dobiegł go głos z drugiego końca korytarza.

Zawsze podejrzewałam, że te wszystkie dziecięce histerie nie są wcale takie spontaniczne. To wszystko za-pla-no-wa-ne! Krzepi fakt, że my, dorośli, nie jesteśmy bezbronni, wystarczy takiego terrorystę przestraszyć lub zszokować, i smarkacz od razu zapomina się rozpłakać.

— Michałku... — Mama? Dźwięk był spokojny, lecz donośny. I tak melodyczny! Już zapomniał, jak piękny potrafił być głos matki. — Nie! Zostaw go! — wykrzyczał inny, chrapliwy głos, który przeszedł w płacz. — Mówię: nie! Nie wolno ci!

Nie dość, że narracja sklerotyczna, to jeszcze dźwięk zapominalski.

Niczego nie rozumiał, ale jak najszybciej chciał być przy matce. Dźwięk, zdaje się, dochodził gdzieś z trzeciego piętra... Tam, gdzie nawet za dnia bał się wchodzić. Jednak musiał tam dotrzeć. Musiał to

zrobić. Dla niej.

Dźwięk, okazuje się, jest również nieco lękliwy, za to chłopiec z czułym słuchem, odważny - pędzi prosto w paszczę demona, zupełnie jak ta blondynka z filmów, która sięga do klamki, a widzowie z rezygnacją wzdychają: „Nie otwieraj, idiotko.”

Ruszył szybko, gdy tylko spostrzegł, że szuka go ciotka Ursula, starsza siostra ojca. Wiedział, że jeśli da się złapać, nie zobaczy matki, tylko wyląduje w łóżku, nafaszerowany jakimiś tabletkami. Nie dziś, ciociu.

No patrzcie, i gdyby nie ciotka, chłopak wcale by tak się do matki nie wyrывał. Czego to dzieci nie zrobią, żeby nie pójść do łóżka. A ciotka też dobra, faszeruje dzieciaka prochami, zamiast poświęcić pół godziny i poczytać bachorowi.

— Michał! Michał! — usłyszał za plecami krzyk ciotki — Zatrzymaj się! W tej chwili! Wszystko powiem ojcu!

Lecz Michał nie słuchał. Walczył sam ze sobą, by wspiąć się na ostatnią kondygnację schodów i jak najszybciej odnaleźć chorą matkę. W ostatnim momencie spojrzał na biegnącą za nim Ursulę, i ruszył pędem na górę.

Wprawdzie literatura fachowa nie przewidywała czegoś takiego jak kondygnacja schodów, zupełnie niesłusznie przypisując słowo „kondygnacja” budynkom, ale wszak to przesądy światło ćmiące.

Słusznego wieku kobieta przystanęła na piętrze, starając się złapać oddech. Jeśli Pascal się dowie, że pozwoliła małemu dotrzeć do pokiereszowanej matki... Wolała nie wiedzieć, co jej robi.

Czyżby przemoc w rodzinie?

Trzecie piętro, na które dotychczas zaglądały jedynie pokojówki — i to, z duszą na ramieniu — tonęło w całkowitym mroku. Na korytarzu nie paliły się nawet świece.

A nie mówiłam, że pic i photoshop! Oczywiście ani lekarz, ani ksiądz, ani nawet małżonek tam się nie fatygowali. Po co leczyć chorobę, kiedy można przyjemnie spędzać czas w bibliotece! Cofam wszystko, co napisałam o przepracowanej służbie zdrowia.

Szedł w stronę drzwi, spod których — jak mu się zdawało — usłyszał głos matki. Nie myślał o niczym innym.

Zdolna jednak bestia z tego malca, zidentyfikował drzwi przez kilka kondygnacji.

Wyciągnął z kieszeni ozdobną figurkę i sięgnął za klamkę. Serce zaczęło mu bić szybciej. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz widział matkę. Tydzień czy miesiąc temu? Jakże to mogło mieć znaczenie dla ośmiolatka?

Sięgnął za klamkę, a za klamką... drzwi! Taka niespodzianka faktycznie może zmusić serce do dzikiej galopady.

Uchylił drzwi, które skrzypnęły straszliwie, a chłopca zalała fala duchoty i blasku świec poustawianych przy łóżku. Nigdy nie był w tym pokoju. Wtem jego oczom ukazało się stare, dębowe łóżko. Potężne i ogromne. Usłyszał także przyspieszony, chrapliwy oddech, który jednak nie należał do niego.

To zaskoczenie bohatera faktem, że matka jeszcze oddycha, skłania do snucia interesujących hipotez.

Staął w nogach łóża i opanował go bezgraniczny lęk. Patrzył na kobietę, która niedawno była jeszcze jego matką — piękną i świeżą jak poranek, a teraz? Była po prostu ożywionym szkieletem, z rozczochranymi włosami, które częściowo już powypadały i siniakami na całym ciele, mimo tego, iż była ciasno przywiązana skórzanymi pasami do metalowych bolców.

No tak, póki piękna i świeża jak poranek (dawno nie czytałam tak beznadziejnej metafory), to mama, a kiedy zbrzydła, to już nie mama. Iście po męsku. I czy ktoś ma telefon na błękitną linię?

Nagle kobieta zorientowała się, że ktoś ją obserwuje bo jej ciało zamarło, a resztką sił zmusiła głowę, by skierowała się w stronę chłopca. Jej twarz przyozdobił straszliwy uśmiech, który spowodował, że Michał odskoczył pod ścianę. Nie poznawał jej i jednocześnie chciał jej pomóc. Nie potrafił.

Przyznam, że wreszcie coś w tym tekście wzbudziło we mnie uczucie zbliżone do niepokoju, ta głowa resztkami kierowana, aż się prosi, by ruszyła na chłopca, kłapiąc szczękami.

— Wreszcie się spotykamy, Michale... — jadowity głos wypełnił mu głowę, a on mógł tylko słuchać — Kopę lat, stary druhu...

Jestem pewna, że autorka miała jakiś cel, umieszczając tę wypowiedź, ale nie mam pojęcia, jaki.

— Zostaw go! — wycharczał słabo drugi głos, bardziej przypominający mu ten, o którym tak bardzo chciał pamiętać, aczkolwiek wydobywający się z tych samych ust, co poprzednio. — To mój syn! Słyszysz?! Nie wolno ci! Nie pozwalam...

Mam wrażenie, że sytuacja matki nie pozwala na stawianie jakichkolwiek warunków, ale niewykluczone, że Autorka chciała podkreślić siłę matczynej miłości.

Kobieta najprawdopodobniej włożyła resztki sił w wypowiedziane przed chwilą słowa, bo opadła na łóżko. Jedynie jej klatka piersiowa unosiła się i opadała słabiutko.

Michał — blady jak kreda — zmusił się, by ponownie stanąć przed matką. Tym razem z determinacją wysunął przed siebie figurkę anielicy, która — jego zdaniem mogła jakkolwiek pomóc.

Jakkolwiek, na przykład, jak umarłemu kadzidło.

Widząc przed sobą przedmiot, przywiązana kobieta dostała ataku szału. Jęki i zawrota głowy przeszły w wielogłosowy, wielojęzykową kakofonię, nieznośną dla uszu.

Jeśli kobieta (bo nie matka mu, już nie) przeczytała powyższe zdanie, jej reakcja jest w pełni uzasadniona. Tym niemniej, miło, że narracja poinformowała nas, iż szału dostała kobieta na łóżku, jeszcze byśmy pomyśleli, że dotyczy to którejś z innych, licznie przebywających w tym pokoju, kobiet.

— Zabierz to, zabierz, zabierz... — błagała matka, wijąc się, w skrępowaniu pasów. — Ból i smutek... Tak wielki... Zabierz to...

Cóż związana kobieta na łóżku rzeczywiście może odczuwać skrępowanie, osobliwie w obecności małoletnich.

Chłopiec stał twardo i z determinacją trzymał figurkę anioła na wysokości swojej twarzy. W tle dobiegał go stukot butów zbliżających się do pokoju ludzi.

— Mamusiu? — szepnął chłopiec. — Jesteś tam? Wiem że jesteś... Pamiętasz tego aniołka? Przywiozłaś mi go, śmiałaś się wtedy... Jesteś chora? Obiecuj że wyzdrowiejesz...

Kobieta, miotając się na łóżku zerwała krępujące ją klamry i rzuciła się w stronę figurki. Nad wyraz długimi paznokciami wyrwała ją chłopcu z ręki i z całym impetem rozbiła o przeciwną ścianę. Chłopiec nie miał pojęcia, skąd w tak zmizerniałej istocie tyle siły.

— Michał! — krzyknął stojący w drzwiach Pascal. — Odsuń się!

Chłopiec stał jak wryty, patrząc w nad wyraz inteligentne oczy... potwora, który już w ogóle nie przypominał jego matki.

— Mamusiu? — zaczął jeszcze raz, słabym głosem, a wtedy umęczona postać zaczęła śmiać się i wywijać na łóżku, aż na usta wystąpiła piana.

Skutkiem wywijania często bywa piana. No, ja bardzo przepraszam za te rymy, ale to naprawdę śmieszna scena.

— Stara kurwa! Tym jest twoja matka! Ale my, Michale, jeszcze się spotkamy! Jeszcze nie czas!

No tak, zupełnie zapomniałam, demon koniecznie musi używać wyrazów, jakże by inaczej, no i stylizować się na Pytię.

Ciało Lei podskoczyło w ostatnich spazmach szału i opadło na przepocone poduszki. Jej pierś już się nie unosiła.

Nie tracąc czasu, podbiegł do niej ksiądz Edmund, kierując jej twarz ku sobie. Jej spojrzenie było puste i pozbawione blasku, a miejsce piany zastąpiła krew. Sprawdził puls i po chwili już nie miał wątpliwości.

— Nie męcz się już... — skinął dłonią na lekarza, który blady jak ściana podszedł do łóżka. — Pan skrócił jej męki. Nie żyje.

Coś mi się zdaje, że panowie tak się integrowali w tej bibliotece, że aż role im się pomyliły. Autorko, najpierw lekarz, potem ksiądz.

Te słowa były ostatnimi jakie Michał pamiętał, zanim zemdłał. Zaczął się najtrudniejszy okres jego życia.

Zaraz, zaraz, osiem lat przeżył i z całego tego okresu pamiętał tylko przytoczone wyżej słowa księdza? No, miał chłopak poważne problemy z pamięcią! Jakim cudem pamiętał w ogóle, że ma matkę? Na plus należy Autorce zapisać, że to zdanie wyjaśnia, dlaczego wszyscy w domu nosili identyfikatory.

Zaczniemy od beczki dziegciu.

Złe lub, w najlepszym razie, niedobre jest w tym opowiadaniu wszystko. Mam wrażenie, że Autorka chciała popełnić horror quasi-wiktoriański. Służyć temu miał zużyty szablon: młoda, piękna matka, starszy od niej, bogaty ojciec, rezydencja z liczną służbą, nieszczęśliwy chłopiec, tajemniczy artefakt i ci ludzie (bliżej nieokreśleni i całkowicie zbędni), szepczący i modlący się po kątach. A nie, przepraszam, po kątach to nieśmiało paliły się lampy.

I mogłoby to nawet mieć ręce i nogi, gdyby nie anachronizmy:

a. czerwony, sportowy samochód – jak by nie kombinować, w konwencję się nie wpisuje.

b. informacja, że akcja dzieje się w dwudziestym pierwszym wieku. No nie, Autorko! Albo mamy XXI wiek i autodestrukcyjna małżonka przebywa w zamkniętej placówce służby zdrowia, albo wpadamy z wizytą do pana Edwarda Fairfaksa Rochestera, i wtedy trzymanie połowicy na strychu będzie jak najbardziej *comme il faut*. W wieku dziewiętnastym można by zaakceptować nawet, choć niechętnie, tę krótką rozprawę między medykiem, panem i plebanem. A tak, nic nie pasuje. Ot, zawiesina, którą trzeba cały czas mieszać, żeby część składników nie opadła na dno.

Kluczowym elementem w opowiadaniu wydaje się figurka anioła. Wydaje się, bo nim nie jest. Figurka nic do tekstu nie wnosi, można spokojnie wykreślić wszystko, co jej dotyczy, i opowiadanie nic a nic się nie zmieni. Zamiast mrocznego artefaktu dostaliśmy tandetny bibelot ze sklepu „Wszystko po 5 złotych”.

Spójrzmy na konstrukcję utworu. Pozornie nie budzi zastrzeżeń. Chłopiec szuka matki (jest quest, jest dobrze) => chłopiec pokonuje trudności (zbiera punkty) => chłopiec znajduje matkę (Tadammm! Zadanie wykonane). Pora na bonus => hmm, wychodzi na to, że w bonusie chłopiec może zabić mamusię... i przejść na wyższy poziom. Niestety, w tym momencie Autorka pali chłopcu twardy dysk i grę trafia szlag, co tłumaczy ostatnie zdanie opowiadania. Resumując, Autorka pracowicie doprowadziła nas donikąd – albo zabrakło jej pomysłu na zakończenie, albo jest to początek większej całości, na co może wskazywać też tytuł, który ma się do opowiadania nijak. Jeśli to drugie, to lepiej niech początek końcem będzie.

Przynajmniej w tym kształcie.

Poważne zastrzeżenia budzi narracja. Pierwsze akapity sugerują, że czytelnik będzie oglądać świat oczami chłopca – co byłoby dobre – mamy tu nawet pewne infantylizmy, typu: „mamusia potrzebuje jego serduszka”, uwiarygadniające postać, a tym samym ułatwiające czytelnikowi identyfikację z bohaterem. Niestety, Autorce zabrakło konsekwencji, a przede wszystkim umiejętności, i dopuściła do głosu monstrum zwane narratorem wszechwiedzącym – nie znoszę drania! – co, z jednej strony, ułatwiło jej opisywanie wydarzeń, z drugiej - skutecznie odebrało bohaterom pozory życia, sprowadzając ich do roli plastikowych pionków.

A szkoda, bo – pora na łyżeczkę miodu – bohaterowie, mimo jawnego sabotażu ze strony Autorki, mają potencjał. I to spory. Można i warto nad nimi pracować, jednak nie wcześniej, niż wtedy, gdy Autorka opanuje warsztat literacki na w miarę przyzwoitym poziomie. Bez spełnienia tego warunku możliwości swoich postaci po prostu nie dostrzeże. Ja je widzę.

Ebola